

Godność nędzarza

Wlecze się jak potępieniec. Chodzi mi o ludzką sylwetkę w ruchu, o obraz idącego człowieka – człowieka pozbawionego nadziei. Duch przygarbionej lichoty, duch jakiegoś szurania i duch giętkości w kolanach znamionującej bezbrzeżną słabość; cechy niemożliwe do zamaskowania. Wszystko typowo ludzkie. Zbity pies od człowieka nauczył się wyglądać jak zbity pies.

Letni przedwieczerz. Siostra i ja na balkonie. Ubrani; ona letnio i na pastelowo, ja letnio w kusych czerniach. Boso tak stoimy i palimy papierosy, a rześki zefirek owiewa nasze blade nogi. Spojrzeniem wędrowca, który może już jutro, być może jednak dopiero za rok wyruszy w drogę, mierzymy widnokres. My milczymy, ale jakiś owad bzyczy i jakby poza świadomym słyszeniem coś szumi, tylko nie wiadomo czy to miasto, czy krew w żyłach.

Ponieważ na wprost niczym w lustrze widzimy blok mieszkalny, taki sam jak nasz, więc patrzymy w lewo, a tam w najdalszym planie sinoniebieskie pasmo Beskidu Śląskiego wyraźnie odcina się od chłodnego błękitu nieba. Niżej napiera jakby zatrzymane w kadrze istne tsunami koron drzew; wielgachna fala zieleni we wszystkich odcieniach. Miło mieć taki najdalszy plan na co dzień.

Osiedle na peryferiach? Trudno powiedzieć, bo moje miasto jest miastem bez centrum, jest przedmieściem nieistniejącego miasta. Moje miasto jest jak wszechświat. Każde miejsce jest tak samo ważne jak i zupełnie nieistotne. Wielkość zbywalna, decydująca równocześnie o być albo nie być wszystkiego. Taki powszedni paradoks.

Ulica w leniwym błogostanie i prawie idealnym porządku. Prawie, bo obok kontenera na używane ubrania leży spora sterta okryć, których wietrzącemu własne szafy nie udało się wepchnąć do pojemnika.

- Jak spadnie deszcz, to zamoknie – mówi siostra.

- Co ty opowiadasz? Jest idealnie. Nie będzie padać, a jutro pewnie ktoś z PCK po to przyjedzie – odpowiadam i zamiast do popielniczki strącam popiół do kubka z kawą.

Cholera.

Siostra prycha śmiechem, a ja poirytowany idę wylać zapaskudzoną kawę.

Wracam z wodą mineralną i stawiam ją w bezpiecznej odległości od popielnicy.

Przedsenne odrętwienie trwa, lecz, i to nie nagle, jakoś tak z wolna bardziej, wdziera się poruszenie. Zza narożnika Szpitala Dziecięcego, w polu widzenia pojawiają się dwie osoby; kontuzjowana, starsza kobieta wspomagająca chód kulami i mężczyzna wyglądający na jej równolatka, chyba mąż. Ubrani jak przeciętni, niezamożni, starsi ludzie, idąc przypominają mały, płożący się opar. Ich ruch nie jest płynny. Przystają, coś do siebie mówią, gestykulują, wykonują niezborne, raz gwałtowne, raz niemrawe ruchy.

Tak czy inaczej opanowują swoją przestrzeń jak mgła; znienacka. Zajęci sobą niby bez reszty, a z drugiej strony jakaś część ich uwagi koncentruje się na rzetelnej lustracji drogi, chodnika i pobocza. Jakby pół głowy gadało, a drugie pół skanowało. Właśnie ten baczny przegląd, ta pierwotna, dzika cecha leniwemu mieszczuchowi rzuca się najbardziej w oczy. Tu „bla, bla, bla”, a tu wzmożona czujność w poszukiwaniu... skarbu? Eh, tam skarbu; czegokolwiek użytecznego i przynajmniej sprawiającego wrażenie własności niczyjej. Ostatecznie, z pewnego punktu widzenia, cały świat to wyspa zagubionych skarbów.

I jest. Haczyk drgnął. W tym samej chwili namierzają cel, niczym dwoje doświadczonych strzelców wyborowych. Automatycznie i z pełną precyzją omiatają wzrokiem teren, bo konkurencja i świadkowie zawsze są źródłem pewnych kosztów, czy ja wiem, wizerunkowych, dla przykładu. No kwestia ludzkiej wrażliwości.

Na całym teatrze działań tylko oni i my. Rejestrują nas błyskawicznym rzutem oka i kalkulacja z konsternacją, ale ledwie kilkusekundowa. On zdecydowanie rusza ku wielobarwnej stercie ubrań, a ona jakby się w sobie zacina. Waha się i wtem podejmuje nagłą decyzję o wycofaniu, ale sama nie odejdzie. Są duetem i tandemem na dobre i złe, na śmierć i życie.

- A zastawże te szmaty, dziadu jeden! – krzyczy do swojego partnera.

Pełen żalości i rezygnacji ten jej gwałtowny sprzeciw. Siła bezwładu jeszcze popycha łowcę ku zdobyczy, lecz naraz jego poczucie człowieczeństwa doznaje ukąszenia zasadą: jak cię widzą, tak cię piszą. Kapitułuje. Z pasją nadjeżdżającej lokomotywy kroczy ku kobiecie. Pełen roztrzęsionej złości zatrzymuje się na krok przed równie zagniewaną połowicą. Strzelają ku nam krótkim, wściekłym spojrzeniem i człapią w swoją stronę. Ogień konfuzji dogasa.

- Za co ona go tak opierniczyła? Mogli sobie coś powybierać – dziwi się moja siostra, ale jest poruszona tą groteskową, choć niewesołą sytuacją.

- Godność nędzarza – próbuję krótko zdefiniować istotę zdarzenia, ale Wieśka patrzy na mnie, jakbym się urwał z choinki.

- Co się tak dziwisz? Tacy sami ludzie jak my i wszyscy inni. Zawstydzili się. Nas się zawstydzili. Rozumiesz? – peroruję.

- Ale te ciuchy przecież ktoś tu wyłożył, aby ktoś inny mógł z nich skorzystać – siostra brnie w praktyczny realizm.

- A jednak, tak czy inaczej się zawstydzili. Siostra, wyobraź sobie taką sytuację: Paryż, lata sześćdziesiąte XIX i w tym Paryżu Cyprian Kamil Norwid, biedny szlachcic, więc szczególnie przewrażliwiony na punkcie honoru, bo tylko to mu zostało. Mało ceniony i prawie nieopłacany poeta, malarz, rzeźbiarz i jeszcze na to wszystko działacz niepodległościowy, co w jego sytuacji tylko przysparza kłopotów. No ni pies ni wydra. Życie miażdży go jak skorupkę. Jeśli nawet ktoś się nim przejmie, to tylko ze względu na urodzenie i koligacje. Ogólnie rzecz biorąc bieda z nędzą i łata na łacie. Ten człowiek cierpi. Głód, chłód i może brud towarzyszą mu codziennie, a on chce być bogaty, syty, wolny i leniwy. Powiem ci, że

wkurzają mnie te romantyczno-pięknoduchowskie wyobrażenia żywotów artystycznych. Puchy, poduchy, kobiety, wino i śpiew i nikt nie pomyśli, za co lokum, wikt i opierunek.

- Ha, ha, no tak. Kurczę, to niby powszechna wiedza, ale... Czemu on sobie tak słabo radził?

Aha. Teraz i z siostry zaczyna wychodzić niezgoda na surową rzeczywistość.

- No jak zwykle, rynek ograniczony, a konkurencja duża. Język polski uniwersalnym nie był i nie jest. Poza tym świat miał i ma swoje sprawy. Co go tam, w sensie, że ten świat, jakaś Polska obchodzi..., ale nie o tym chciałem... - przerywam, bo konkret zaczyna mi się rozmywać w ogólnym rozbiadoleniu.

Do tematu.

- Uwaga! Taka scenka; Zofia i Juliusz Kossakowie zapraszają go do swojego paryskiego mieszkania na obiad. Norwid przychodzi oczywiście, ale już od progu tak jakby łaskę robił gospodarzom. Jest rozdrażniony. Może tylko udawać, że z jego garderobą wszystko jest w porządku, bo nic nie jest w porządku. Rozmowa się nie klei. Kossakowie są mili, ale Norwid tak stara się ukryć swoją mizериę, że ta aż wrzeszczy. Gdyby mogli, odwróciliby od niego wzrok, ale nie wypada, więc ogólne zakłopotanie. Pani Zofia boi się podać obiad, bo Norwid się obrazi, że traktują go jakby na „łaskawie” przyszedł, a on naprawdę nie jadł już ze dwa dni. Gospodyni coś tam przebąkuje o posiłku, więc Norwid powściągliwie prosi o herbatę. Wypija ją z godnością i wychodzi od Kossaków, oczywiście dużo bardziej głodny, niż do nich przyszedł. Rozumiesz?

- No nie, kurczę, nie! Głodu bym się nie wstydziła, a niedostatek znamy przecież z naszego dzieciństwa i młodości.

- Niedostatek?! Siostra, nędza to brak nadziei na choćby jako taki jutrzejszy byt. Brak nadziei na zawsze i na wszystko.

- Mirek, współczuję tym ludziom, jest mi ich żal, nie rozumiem jednak tego unoszenia się godnością – siostra trwa mocno w swoim twardym „tu i teraz”.

- Cóż, mają tylko tyle. Zresztą, dajmy temu spokój; nikt na to recepty nie wymyślił i nie wymyśli. Cichy uwiad prozy życia. Ot i już.

Nie spieram się z nią dłużej, bo na dobrą sprawę wiem, że w istocie nikt za nikogo życia nie przeżyje. Prawdą jest, że każdy czuje tylko swój ból i nie jest to egoizm, tylko natura życia. To wszystko prawda, ale bycie świadkiem ratowania resztek godności ludzkiej poprzez wymuszoną niechęcącym spłoszeniem, rezygnację z kilku tak cennych, ale przecież tylko szmat, napełnia mnie palącym wstydem.

Gdzieś z otchłani samowiedzy dociera do mnie ostrzeżenie i groźba, że wystarczy lekkie potknięcie w życiu, jakiś nieszczęśliwy zbieg okoliczności i... Cholera, to tak jakby wyobrażać sobie własne umieranie.

Tkwię jak kołek na tym balkonie, a pośród wirujących myśli pulsuje goryczą jedna fraza, jedno zdanie ze „Zbyt głośnej samotności” Bohumila Hrabala: „Niebiosa nie są humanitarne”, więc wstrząsa mną natrętne wyobrażenie i przecucie upokarzającej litości albo zimnej obojętności, przed którą to ja będę musiał bronić godności nędzarza.

Mirosław Śliwa

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Mirosław Sliwa, dodano 09.08.2017 19:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.